

Medjugorje

fragment

Medjugorje to miasteczko w południowej Hercegowinie, zamieszkane przez blisko cztery tysiące Chorwatów katolików.

Okolo godziny szóstej wieczorem 24 czerwca 1981 roku, pod wzgórzem Crnica położonym na południowy wschód od Medjugorje, sześcioro dzieci ujrzalo Matkę Boską. Od tamtej pory czworgu z nich oraz dwojgu innym objawia się ona regularnie, nierzadko dzień po dniu. W trakcie objawień Matka Boska przekazuje szóstce liczne przesłania oraz odpowiada na zadawane pytania.

„Medjugorje” oznacza „międzygórze”, „surową ziemię”.

Daniel zszedł po schodkach Leara. Wielkie kałuże połyskującej benzynowo deszczówki parowały z brudnej płyty lotniska, tworząc nad betonową równiną rzadki opar mgły. Zbliżała się pora deszczowa i ta nagła ulewa przewaliła się była nad stolicą w ciągu nieledwie kilku minut, zostawiając po sobie – prócz szybko znikających kałuż – charakterystyczny zapach afrykańskiej burzy. Daniel przysiadł na przedostatnim stopniu, zapalił papierosa, drugą ręką wyjął telefon i szepnął: – Bella. – Oczekując na połączenie spoglądał ponad czarnymi szklami na odległe budynki portu: halę, wieżę, magazyny celne, strażnicę. Lotnisko otaczał potrójny płot z drutu kolczastego, wysoki na dobre pięć metrów. Żołnierze, którzy powinni byli patrolować wzdłuż niego, siedzieli w cieniu budynków, z tej odległości Daniel widział tylko błyski bieli ich oczu w okrągłych czarnych twarzach, błyski słońca na metalu kałasznikowów.

W Londynie, dwie godziny na zachód, był już wieczór i Daniel słyszał przebijające się przez głos Belli pokrzykiwania dziewczynek przy kolacji. – Ile znowu? – pytała Bella. – Nie wiem – powtarzał Daniel – to zależy. Tam teraz jest wojna, mieliśmy wizy, ale nam cofnęły, tkwimy tutaj czekając na ukonstytuowanie się jakiegoś w miarę prawomocnego rządu. Druga ewentualność jest taka, że bez żadnych wiz skoczmy helikopterem przez Bujumburę, i tak nikt się nie zorientuje, tu granice najbardziej sztuczne na świecie. – Bardzo mnie uspokoiłeś. – Cieszę się. – Może powinniśmy byli się pobrać, zostałabym młodą wdową, zawsze to lepiej brzmi. – I tak wszystko ci zapisałem. – Nie rób mi złudnych nadziei, ciebie nawet katar omija. – No wiesz, zabłąkana kula... – Ale jakie potem kłopoty z postępowaniem spadkowym, strefa wojny, nie ma ciała, odczekiwać ileś lat, chyba że świadkowie. – Wróć i skonam ci w ramionach. – O, to już lepiej. Byle nic zakaźnego. – Nie bój się, coś wymyślę, mam czas. Pa.

W głównej kabinie Leara de la Croix leczył kaca. Jak wszystko, co dotyczyło de la Croix, był to kac-potwór, kac-monument. Przygniatał teologa ciężką dłońią, z drobną pomocą grawitacji wciskając wielkie cielsko Helwety w standardowych rozmiarów fotel; że ono zaś nie mogło się tam żadną miarą pomieścić, przelewało się na zewnątrz wszelkimi sposobami – nogi wyciągnięte w poprzek przejścia, ręce opuszczone po bokach do samej podłogi, brzuch kipiący ponad oparciami, głowa już-już odrywająca się

od karku i spadająca do podstawionego kubła z lodem. – Mówiłem, żeby nie pić nad Iranem, Allah nie wybacza – mruknął Daniel. – Cierpię na chorobę powietrzną! – zagrział de la Croix i skrzywił się na dźwięk własnego głosu.

Daniel przeszedł do bagażowej, która zajmowała ponad połowę samolotu. Voestleven zajała się właśnie jakimiś owocami z puszek, na widok Daniela otarła usta przedramieniem. – No więc to musi być podczas wojny – stwierdziła. – I prawdopodobnie ta ręka to będzie świeża rana, powinniśmy zabrać jakiegoś lekarza. – Może Wroński będzie kogoś miał – podsunął Daniel usiadłszy na pace ze sprzętem. Voestleven miną wyraziła powątpiewanie. – Wroński będzie miał swoich ludożerców, nikogo więcej mu nie trzeba. Co prawda w pliku od Kilmoutha jest coś o miejscowej służbie zdrowia, ale to może być wszystko.

Daniel wyszarpnął z zabezpieczającej obejmy pomarańczowy kontener, oparł ciężki ładunek na kolanach, odkręcił płytkę klucza i przycisnął kciuk. Szczęknęły zamki, odchyliła się pokrywa. Wnętrze wypełnione było srebrnej barwy mazią o konsystencji rtęci. Daniel zanurzył w niej rękę. Po wyjęciu była tak samo sucha, jak wydobyty spod zwierciadlanej powierzchni przedmiot: z wyglądu sądząc, skrzyżowanie średniowiecznego pucharu z pistoletem do wstrzeliwania kołków, okropnie nieporęczne.

– Przypomniałem sobie tych chińskich celników – powiedział. – Może lepiej położę gdzieś na wierzchu, pod jakąś brudną szmatą...

Usłyszeli szybkie kroki, najpierw na schodkach, potem wewnątrz kabiny. De la Croix coś zamruczał. W drzwiach pokazał się Blumen, białą koszulę pilota miał doszczętnie przepoconą, zwierciadlane okulary zjechały mu na sam koniec nosa, spoglądał spod przekrzywionej czapki z melancholijnym wyrzutem.

Wyjawszy z ust papierosa, odetchnął, po czym wyrzucił z siebie na jednym oddechu:

– Będą rekwirować. Dzwonił Haku z ministerstwa. Mamy pół godziny. Fredżyści przekroczyli granicę, idą z południa. Ponoć CNN daje na żywo masowe egzekucje nad rzeką. Każdy samolot na wagę złota.

Voestleven poskrobała łyżką po dnie puszek.

– No i szlus – westchnęła. Czy tyczyło to ostatecznego rozprawienia się z owocami, czy losów tutejszej rewolucji, czy też samej ekspedycji – jednaka bezsilność malowała się na twarzy kobiety.

Daniel się zirytował.

– Co oni tu mają, MIGi-17? Muzeum wojny.

Blumenowi okulary spadły z nosa.

– Jezus Maria – charknął, z przerażeniem spoglądając na Daniela.

– Mają Stingery – warknęła Voestleven chowając puszkę do worka na śmieci, nagle znów pełna zaraźliwej energii.

– No to co? Z piętnastu tysięcy gównu złapią.

– Jezus Maria – powtórzył Blumen podnosząc okulary.

– Co, już? – zagrział de la Croix.

– Śpij! – krzyknęła nań Voestleven. – A ty to schowaj – dodała wskazując brodą urządzenie, które Daniel z ponurą miną wycelował w Blumeną. Pilot stukał się w czoło pod jego adresem.

Voestleven odkręciła butelkę coli, pociągnęła tęgi łyk, charakterystycznym gestem otarła usta, odetchnęła, odstawiła butelkę i, przybrawszy zamyśloną minę, pochyliła się ku Danielowi, opierając łokcie o kolana.

– No więc tak – zaczęła, i tu ją zatchnęło.

– No więc jak? – burknął Daniel.

– Moment. Jaki jest termin? Siedemnastego. Dzisiaj trzynasty. Wroński trzyma wiochę. Mamy trzy dni na przeskoczenie tych sześciuset kilometrów.

– I paru granic – dodał Blumen.

– I paru granic. Scenariusz numer jeden: lądem. Już chyba widać, że bezsensowny. Scenariusz numer dwa: skokami na wizach. Nie do przewidzenia opóźnienie. Scenariusz numer trzy: na wizach od Bujumbury. Ale tak czy owak jakoś do tego Burundi trzeba się dostać. Rzeczywisty problem polega na tym, że w Mutawasze nie ma gdzie posadzić Leara. Prawda, panie kapitanie?

– Posadzić go posadzę – parsknął Blumen – ale już potem na pewno nie podniosę, a i wątpię, czy ujdziemy z tego lądowania z życiem. Po chuja żeśmy tu tankowali, ta burza przeszła bokiem, mogłem dociągnąć na...

– Tu zatem wyłania się kwestia helikoptera – przerwała mu Voestleven. – Mamy zabukowanego tego Sikorsky'ego w Bujumburze. Konieczna przesiadka. Siadamy Learem nad Tanganiką i wpadamy w wielotygodniową kołomyję konsularną, pewne jak w banku.

– Więc? – westchnął Blumen wachlując się czapką, też już przepoconą.

– Więc otwórz sobie, Rupert, satelitarną i znajdź jakąś nierozmytą szosę na bezludziu w stosownej odległości między Bujumburą a Mutawahą. Potem złap tych od Sikorsky'ego i podaj im koordynaty; niech zabiorą dodatkowe zbiorniki paliwa, ile się da. W Burundi zejdziesz poniżej radarowej. Przesiadamy się, ty pusty skręcasz do Kigali. Wszystko jasne? Więc odpalaj, zaraz tu mogą się zjawić rekwiranci Haku.

– A jak oni rzeczywiście mają Stingery?

– Fredzyscy mają je na pewno, Stingery, Striely czy insze ustrojstwo.

– Chryste Panie, Kilmouth powinien mi płacić poczwórnice za narażanie życia...

– Wszystkim nam powinien.

– Bozia nam wynagrodzi – mruknął Daniel głaszcząc ręką metalowo-plastikowego konstrukt.

•

Ten Sikorsky to była wojskowa maszyna, nawet jeszcze nie usunięto gniazd karabinów maszynowych i wielolufowych działek burtowych. Zarówno Blumen, jak i pilot śmigłowca – niejaki Neumann – pomagali przenosić bagaże z maszyny do maszyny, ale i tak zabrało im to ponad godzinę. De la Croix wskazywał wyciągniętym ramieniem wzdłuż szosy tnącej żółto-seledynowe pustkowie sawanny i prorokował gromko kolumnę TIR-ów, szalonego rajdowca, stado bawołów. Nic takiego nie nadeszło. Przeładowali sprzęt i rozlecieli się w przeciwne strony.

Mknęli tuż nad ziemią, nad falami traw, wierzchołkami drzew – kilka metrów powyżej. Wszyscy musieli się przypiąć pasami, nagle zrywy, poderwania i upadki Sikorsky'ego wywracały im żołądki na nice. Daniel wyglądał przez małe okienko. Raz zobaczył stadko antylop skaczące przez trawy byle dalej od źródła hałasu; raz – wielki szkielec słonia. W pewnym momencie Voestleven pochyliła się i krzyknęła mu do ucha: – Granica! – Nie było tam nawet słupa.

Oczywiście bali się jak cholera. W każdej chwili mógł ich strącić pocisk ziemia-powietrze, Sikorsky był jedną wielką plamą ciepła, silniki płonęły w podczerwieni białymi flarami. Przeskoczyli ponad doliną pasterzy – chudzi Murzyni w za dużych *T-shirtach* reklamujących filmowe przeboje minionych sezonów obracali głowy za ryczącą gromko maszyną, bydlę nawet się nie przestraszyło. Kilku miało karabiny, ale nie zdążyli ich wycelować. To straż pasterska, nie żadni partyzanci; można to poznać po reakcjach na grzmot wirnika helikoptera: nie uciekali i nie padali na ziemię.

Gdy poprzednio go wynajmowali, Wroński sam dysponował dwoma śmigłowcami. Oba stracił (oba w niewyjaśnionych okolicznościach; na wojnie okoliczności zazwyczaj pozostają nie wyjaśnione). Daniel nie najlepiej wspominał współpracę z ludźmi Wrońskiego. Gdyby nie fakt, że major tak czy owak operował w tej okolicy, Kilmouth zapewne nie zdecydowałby się na ponowne go wynajęcie. Chociaż kto

może wiedzieć, na co zdecydowałby się Kilmouth, a na co nie – na pewno nie Daniel, który miliardera nigdy osobiście nie spotkał. A z tego, co wiedział, nie spotkali go także ani de la Croix, ani Voestleven. Cóż, w końcu są tylko szeregowymi pracownikami, *freelancerami* z odzysku.

Przed zmierzchem Neumann złapał radiostację ludzi Wrońskiego. Lecieli już nad dżunglą. – Dwie czerwone flary! – krzyknęła Voestleven, która miała na głowie hełm i słyszała wymianę zdań między pilotem a radiooperatorem majora. To już była prawie strefa wojny. A w Afryce „prawie” oznacza właśnie strefę, ponieważ uchodźcy, najemnicy, niedobitki i chorzy oraz oddziały zwiadowcze i pościgowe, a także rozmaitej maści rabusie, szabrownicy tudzież szaleńcy – rozlewają się z ziem objętych właściwą wojną na dziesiątki i setki (to zależy od klimatu i terenu) kilometrów wokół; tak że są tu takie obszary, na których od bodaj trzydziestu lat nie zapanował prawdziwy, „europejski” pokój. Gdyby ktoś chciał na potrzeby szacunku szans zestrzelenia Sikorsky'ego zliczyć strony konfliktu, zabrakłoby mu palców u rąk. Pomijając podziały plemienne, ideologiczne, klasowe i religijne, wchodziły tu w grę również interesy poszczególnych państw, poszczególnych rządów tych państw (miewały po kilka na raz), interesy poszczególnych połowych dowódców (Wrońskiego na przykład) oraz samych żołnierzy (zdarzało się, że napadali i „rabowali” własne tabory).

Helikopterem zarzuciło, Daniel złapał się uchwytu i zerknął przez okienko. Dojrzał ponad drzewami jedno czerwone światło w smudze dymu przechodzącego od purpury w brąz; dym strzępił się w poziome wstęgi tuż nad ciemnozieloną koldrą dżungli, wieczorny wiatr musiał być silny. Neumann zataczał maszyną szerokie koła wypatrując odpowiednio dużego prześwitu dla bezpiecznego jej posadzenia. Sztuczny huragan szarpał liśćmi i gałęziami, wystrzeliwały z niego cienie ptaków, raz nawet wielka chmura motyli, którą Daniel zrazu wziął za obłok nagłej eksplozji śróddrzewnej.

Siedli w dziurze niedawno wybitej w cielsku dżungli przez potężny ładunek wybuchowy, ziemię pokrywała miazga zmasakrowanej roślinności i wysoko przeoranej gleby, pachniało ciepłą zgnilizną.

Jeszcze się zatrzymał wirnik śmigłowca, gdy do drzwi podbiegł Wroński z jakimś starym Murzynem.

– Ruszać się, ruszać! – pokrzykiwał major.

– Co jest?

– Mrówki idą!

Żart, pomyślał Daniel; ale mrużąc oczy ponownie spojrzał w brzydką twarz Wrońskiego i zwątpił. (Co nie znaczy, że oczekiwał odeń jakiegoś porozumiewawczego uśmiechu).

Wskoczyli po kolei z helikoptera.

– Na Mutawahe? – spytała Voestleven.

– Na nas. – Wroński wycelował kciuk między stopy.

– To co, nie można czegoś rozpylić, bo ja wiem...

Major zamachał ręką.

– Po prostu zejdziemy z trasy. Przenocujemy za rzeką i potem skręcimy do Mutawahey. Tak najprościej. – Rzucił coś w narzeczcu do Murzyna, obrócił się i wskazał kapeluszem północny skraj przerębła w dżungli. Tam, w cieniu, siedziało na piętach kilkudziesięciu półnagich Murzynów: tłum żywej czerni. Patrzyli na białych i maszynę w prawie zupełnym bezruchu.

– Tragarze – wyjaśnił Wroński. – Jazda, wyladowujemy.

Poszło to zadziwiająco sprawnie. Daniel tylko stał i przyglądał się. I trzeba przyznać – jako że miał świeżo w pamięci korowody z przeładunkiem bagażu ekipy z Leara do Sikorsky'ego – zrobiła na nim wrażenie wyraźna wprawa i zorganizowanie tragarzy. Patrzył wręcz z niedowierzaniem, jak ciężkie i z pozoru niewygodne paki i kontenery dźwigali ci chuderlawi Murzyni o napiętej niezdrowo skórze i gorączkowo lśniących oczach.

Daniel, de la Croix, Voestleven i Wroński nie byli jedynymi, którzy tak beczynn timer przyglądali się

wybuchłej nagle przy śmigłowcu krzątanie – na granicy strefy miazgi stało czterech mężczyzn odzianych w niekompatybilne fragmenty najróżniejszego rodzaju militarnych uniformów. Palili papierosy, podśmiewali się z cicha, drapali po karku. Dwóch było białych, jeden Murzyn, jeden Hotentot. Broń podobnie – każdego z innej parafii: M-16 i granatnik, Uzi z przedłużonym magazynkiem, nieśmiertelny AK-47, nawet wyrafinowany *Heckler & Koch*. Kilka kroków od nich resztką sił dymiała porzucona flara. Ludzie Wrońskiego. Tego z M-16, białego brodacza w okularach w plastikowej oprawce, Daniel dobrze pamiętał: to Fouche.

Podszedł do nich, poprosił o papierosa. Fouche chyba też go poznał; poczęstował, przypalił.

– Reding? – upewnił się.

– Daniel. – Daniel podał mu rękę. Fouche uściśnął ją. Wnętrze dłoni miał spocone. Dżungla, przypomniał sobie Daniel.

– Wywiad socjologiczny, he? – zaszydził brodacza; francuska wymowa mocno zniekształcała słowa. – Uważaj, bo jeszcze kto wam uwierzy.

Hotentot zaszwargotał z drugim białym w *afrikaans*. Biały wskazał ręką z cygarem na rozwijający się powoli na wschód wąż tragarzy.

– Biją się tu? – zapytał Daniel wydmuchawszy dym.

– Kto?

– Ktokolwiek.

– Dochodzą echa. Armia Wyzwoleńcza M'Ato, Kunikuadze. W Mutawasze powinno być spokojnie.

O ile nie zabiorą się do kamieniowania, he he.

Daniel wzruszył ramionami. Kiedy się poprzednio byli zetknęli – ludzie Kilmoutha i ludzie Wrońskiego – rzecz cała zakończyła się zlinczowaniem jednego z wieśniaków przez rozjuszoną tłumę, Fouche i pozostali mogli się tylko przyglądać (co zresztą stanowiło według Redinga głównie zajęcie najemników: przyglądanie się z dystansu).

Szłupp, szłupp, szłup-pp, nareszcie łopaty śmigłowca ponownie zaczęły się obracać, powiało prosto na żołnierzy i Daniela, odruchowo ukryli papierosy we wnętrzach dłoni, wieczorne powietrze niesło ostre zapachy dżungli. Przyboczny Murzyn Wrońskiego rozdzielał ze zwałonego na stos bagażu ekspedycji poszczególne pakunki, na swój przydział czekało jeszcze ponad tuzin tragarzy. Daniel poszedł dopilnować warunków transportu pomarańczowego kontenera. Wiatr wiał mu w twarz, pusty helikopter wznosił się powoli, na chwilę zawisł w bezruchu, obrócił się wokół osi, opuścił nos, wzniosł ogon – po czym wyskoczył wysoko ponad drzewa i na południe: plama, plamka, ciemny punkt na horozyncie, nic; zniknął, zostali sami. Cisza zawatowała Danielowi uszy, bez potrzeby podnosił głos na Wrońskiego, który tłumaczył jego polecenia nadzorca tragarzy.

Tak się złożyło, że jako ostatni opuścili polanę organicznej miazgi właśnie Daniel i major. Voestleven szła bowiem na samym przedzie, Wroński dał jej krótkofalówkę i od czasu do czasu się przez nią odzywała; de la Croix włókł się zaś gdzieś przy końcu węża, klnąc z cicha i ocierając z potu wysokie czoło, jeszcze przed chwilą migły im między pniami jego plecy, teolog był w hawajskiej koszuli, Murzyni szczyrzyli doń zęby, w odpowiedzi uchylał im szyderczo kapelusza. Z czwórki żołnierzy, jakich zabrał był Wroński ze sobą, trójka też już zniknęła między drzewami. Najdłużej, bo przypadła mu rola tylnej straży, pozostał na otwartym terenie ów drugi biały, Bur z *H&K* – zamachał teraz na majora, major zaś nabił fajkę, rozejrzał się po polanie (żadnych widocznych śladów) i zawołał Daniela: – Panie Reding! Raczy się pan pospieszyć...! – jako że Daniela dopadła zwyczajowa jego przypadłość, to znaczy biegunka na tle nerwowym, i zniknął na kilkanaście minut w buszu.

Idąc przez dżunglę za Wrońskim (a czas jakiś i obok niego) Daniel miał okazję przyjrzeć się zmianom zaszłym na twarzy majora od ich poprzedniego spotkania. Jedno mógł rzec z pewnością: była jeszcze szpetniejsza. Voestleven kiedyś świetnie skwitowała fizjonomię najemnika: – Taki paskudny, że aż

fotogeniczny. – Szpetota Wrońskiego szła bowiem z nurtem pewnego rodzaju estetyki; rzecz o tym obliczu, iż jest charakterystyczne, znacząco dobrać najłagodniejszy z eufemizmów. Ponoć tubylcy zwali go „Trupem”, „Robakiem”, „Małą”. Być może gdyby Wroński poddał się stosownym operacjom plastycznym... Na pewno sporo by go one kosztowały. Po części ta szpetota musiała być naturalna; to znaczy na pewno urodził się był Wroński z tym wielkim nohalem (choć łać łać łać go już potem), z tymi neandertalskimi nawisami nadocznymi, z tą krzywo zawieszoną szczęką. Na pewno przeżył ciężką ospę. Doświadczył też bez wątpienia bliskiego kontaktu z ogniem, plamy poparzeniowe spelzały mu spod czarnych włosów na lewy policzek. Jakiś odłamek przerył mu głęboko prawy łuk brwiowy. Coś poharatało brodę. Coś rozcięło skórę pod okiem – pozostał nierówny ścieg, sam chyba sobie ją zszywał. Na dodatek lewa powieka mu opadała. Miał też major upiornie jasne tęczęwki, jakby wycięte z witrażu ascetycznego świętego.

– No. Już – mruknął Wroński. – Napatrzył się?

– Przepraszam.

– A proszę cię bardzo, macie to w kosztach.

– Przybyło ci blizn. Ta pod okiem... sam się szyłeś?

– Nie, mój medyk.

– Coś kiepski.

– Był na haju.

– Trzeba było poczekać, aż oprzytomnieje.

– No nie wiem, wolałbym, żeby eksperymentował najpierw na kimś innym.

Wroński nigdy się nie uśmiechał, kiedy żartował. Wroński uśmiechał się tylko w jednym przypadku: gdy już stracił panowanie nad swymi żądzami i właśnie postanawiał pogodzić się z nieuniknionym. Był to wówczas nieśmiały uśmiech akceptacji. Daniel widział go raz. Cieszył się, że nie wyszedł wówczas w noc za majorem i jego ludźmi.

– I co – zagadnął Wroński po dłuższej chwili marszu w milczeniu – doczekamy się wreszcie cudu?

– Umh?

– Nie na to polujecie? Na cud?

– Niezupełnie.

– Nie mnie wiedzieć, leci mi za kontrakt, mister Kilmouth bardzo hojny; ale ciekawy jestem, co też on może na tym zyskać.

– Już o to pytałeś.

– Naprawdę? I jaka była odpowiedź?

– Cóż, wartość medialna jest nie do przecenienia.

– I o to mu idzie? Planuje wyciągnąć forszę z praw do nagrania?

– Czego ty ode mnie chcesz, sam jestem tylko najemnikiem! To znaczy... nie znam strategii firmy.

– Strategia firmy! – Wroński pokiwał głową. – Pogrzebałem trochę w sieci po waszym poprzednim zleceniu. W czym mianowicie siedzi KS Inc.? W nadprzewodnikach, w nadturingówkach, w AI w procesorach NS. W bionano. I ta KS wydaje setki tysięcy, pewnie już miliony, na przetrzucanie z jednego końca Ziemi na drugi ekipy, która sama tak naprawdę nie wie, po co robi to, co robi? Przy czym zazwyczaj są to jakieś ostatnie dzicze.

– Ee, niedawno mieliśmy sprawę w środku LA.

– No właśnie mówię: ostatnie dzicze. I ja się zastanawiam: co po? jaki interes? skąd zysk?

Szczególnie, gdy się zważy na branżę. Po prostu... jakoś nie chce mi się to ułożyć.

Daniel wzruszył ramionami, ale major tego nie zobaczył, siedł teraz z przodu, ścieżka była wąska.

– Tobie się układa? – zapytał.

– Prawdę mówiąc...

– No?

– Nie.

Wroński ponownie pokiwał głową.

– I cóż pocniemy z tak pięknie zapowiadającą się tajemnicą?

– Zarobimy...? – zaryzykował Daniel.

– A da się?

– Tajemnice wielkich bywają cenne.

– Dla wielkich. Tak.

Przeszli przez wąwóz, przeskoczyli powalone drzewo.

Daniel trawił słowa majora.

– Spółka? – rzucił.

– Spółka, powiadasz.

Szli dalej, ścieżka coraz ostrzej meandrowała, było już zupełnie ciemno, brodzili w sążnistych cieniach, wypowiedziane słowa wlokły się za nimi tłustym dymnym warkoczem.

Nad rzeką dogonili tragarzy. Mieli do przeprawy wszystkiego jeden płytki ponton i kiedy Wroński z Redingiem wyszli spomiędzy drzew, ujrzeli stłoczonych na brzegu Czarnych oraz równo rozsortowane bagaże, nad którymi stróżowała Voestleven i ludzie majora. A wszystko to w sinym blasku trzech zimnych lamp obozowych, nierówno rozstawionych na skarpie. Ich światło odbijało się w czarnej toni powolnej rzeki, gdzieś na granicy blasku i cienia majaczył oddalający się ku drugiemu, niewidocznemu brzegowi przepełniony ponton. Szum wody stanowił tło dla arytmicznych zaśpiewów Murzynów, to cichnących, to znów podnoszących się od pojedynczego zakrzyku, gdy ledwo słyszalna muzyka z miniradia któregoś z tragarzy poruszyła afrykańskie serce solisty; woda niosła dźwięki czysto i daleko, dżungla słuchała w niezwykłej ciszy.

W Londynie pewnie już wszyscy śpią, pomyślał Daniel powstrzymując rękę sięgającą po telefon. Został na szczycie skarpy i stąd obserwował przeprawę ekspedycji. W ciemności usiadł był na jakimś gnijącym zielsku, które przylepiło się do jego spodni. Patrzył, jak Wroński podchodzi do Voestleven i coś do niej mówi wskazując papierosem północ. Spółka? Spółka z Wrońskim? Redingowi ponownie skreśliły się jelita. Łykał proszki za proszkami, ale gdy już przychodziło co do czego i stawiał pierwszy krok na drodze do możliwej (nie pewnej, lecz przeczuwanej) śmierci – organizm go zdradzał i poniżał. Ja może i miałbym odwagę – myślał – ale ciało postawi veto.

Zielsko cuchnęło. Wstał i zszedł nad brzeg. Położył się na mokrym piasku. Niebo było iście afrykańskie, tak bogate, że osobom na diecie powinno się zakazać nań patrzeć. Murzyni wymrukiwali swą smętną pieśń. Jak on się wtedy czuje? (A może tym razem będzie to kobieta?) Co to za światło, jakie ciepło, jaka nirwana. Dla poznania tych sekretów warto wiele poświęcić. Cóż dziwić się Kilmouthowi, który poświęca jedynie pieniądze. Szybki strzał z intrenaka. Kilmouth ma już pewnie wszczepione elektrody...

Obudził go Fouche. Ponton zawracał po raz ostatni.

•

– I?

– Pada. A właściwie leje. Ten cholerny deszcz bije tak mocno, że boli od tego skóra. Masz pojęcie?

– Pora deszczowa.

– Po prawdzie jeszcze nie. Ale co za różnica. Nawet spać przy tym nie można – chociaż niby deszcz powinien usypiać. Gdzie tam.

– To coś ty robił w nocy, hę?

– Biały człowiek, a w każdym razie nieprzyzwyczajony biały człowiek, po prostu nie może się tu wyspać. Bez klimatyzacji budzi się jeszcze bardziej zmordowany niż się kładł. Bezustanne zmęczenie... Chodzą tacy przymuleni, widać to po oczach.

– Biednyś ty.

– Ciężkie jest życie kretyna.

– Bo ja wiem... już bardziej przymulony, niż wtedy, gdy pracowałeś na uniwerku, być chyba nie możesz.

– Perfidia twych komplementów, Bellissima, dorównuje jedynie słodyczy twych inwektyw.

Znowu siedział na schodkach – tym razem były to schodki południowej werandy leprozorium Misji Świętego Bonawentury. W leprozorium oczywiście nie było żadnych trędowatych; jak opowiadał doktor Ducheé, ostatni trędowaty zmarł tu jeszcze za Francuzów, w latach trzydziestych. Budynki misji miały ponad sto lat i widać to było po nich. Zaplanowano ją na dwudziestu stałych rezydentów, szpital i leprozorium miały zaś pomieścić do stu pięćdziesięciu osób. Od pierwszej wojny światowej znacznie jednak zmieniły się szlaki handlowe w tej części Afryki, przesunęły się także strefy wpływów, terytoria plemienne, nawet strefy klimatyczne. Kościół utracił posiadłość na rzecz rządu w latach pięćdziesiątych, kiedy przez tę część kontynentu przewalała się zaraza „socjalizmu szczepowego”, objawiająca się między innymi powszechnym nacjonalizowaniem europejskich majątków. Potem, po obaleniu rządzącej rodziny i po dwóch dekadach wojny domowej (która zresztą nigdy do końca nie wygasła: każdy zagadnięty tubylec potrafił wyrecytować litanie krzywd do siedmiu pokoleń wstecz) misja przeszła w ręce holenderskiej fundacji ekologicznej, która miała nadzieję wykorzystywać ją jako bazę wypadową dla patroli antyklusowniczych. Szybko jednak zmieniły się mody filantropiczne i misja stała się własnością Czerwonego Krzyża: co trzeci autochton był przecie nosicielem wirusa HIV. Zresztą w głównym budynku Misji Św. Bonawentury oficjalnie wciąż mieściła placówka Krzyża. Co parę miesięcy zaglądali tu wizytatorzy regionalni oraz urzędnicy ze stolicy: przywozili po kilogramie nowych zaleceń i formularzy do wypełnienia, spisywali dane do statystyk (głównie zachorowań i zgonów), obiecywali pomoc w personelu i pieniądzu, po czym odjeżdżali. Pomoc, rzecz jasna, nigdy nie napływała. Misja Świętego Bonawentury niszczała spokojnie w straszliwym słońcu interioru *l'Afrique Noir*. Bielone wapnem mury (francuskie budownictwo sprzed wieku) kruszały pod spojrzeniem Daniela do miążkości kredy, w barwie podobne teraz, w deszczu, ludzkim kościom. Kaplica rozpadła się była zupełnie, pozostała tylko ściana szczytowa z oknem w kształcie krzyża; sama ściana ocalała w formie wciętego z jednej strony trójkąta, pod słońce wyglądała niczym połowa łuku tryumfalnego po jakiejś miejscowej barbarzyńskiej wojnie. No ale teraz słońce kryły chmury. Gdy jeszcze kaplica stała – opowiadał doktor Ducheé – co pół roku przyjeżdżał odprawić mszę ksiądz z drugiej strony granicy. To zaledwie kilkadziesiąt kilometrów, a parafie miewają tu wielkość Islandii. Teraz zresztą też przyjeżdżał. Cmentarz za misją ciągnął się aż do do dżungli i w większości zarastały go krzyże. Doktor Ducheé był jedynym białym lekarzem w promieniu dwóch i pół dnia podróży landroverem. Miał do dyspozycji jedną wyszkoloną czarną pielęgniarkę i kilku niewyszkolonych czarnych asystentów. Daniel spotkał dwóch z nich: jednonogi starzec i szalona kobieta o gabarytach Marlona Brando. Oni jednak mieszkali w wiosce pod wzgórzem. W misji mieszkał Ducheé, pielęgniarka i dwie żony Ducheé wraz z dziećmi. No i byli jeszcze pacjenci, ale oni bez wyjątku umierali. Afrykanin, twierdził stary doktor, w dziewięciu przypadkach na dziesięć nie zgłosi się dobrowolnie do lekarza, jeśli nie jest święcie przekonany, że grozi mu nieuchronna śmierć. No i w dziewięciu przypadkach na dziesięć ma rację. Nikt tu nie przychodzi rodzić, ani z grypą lub z prostym złamaniem; a jeśli z wyrostkiem, to już rozlanym.

Daniel siedział pod zadaszeniem werandy, wyciągnięcie ręki od szarej ściany deszczu, i obserwował jak Orangutan Nieboszczyka goni węże pod gankiem budynku administracyjnego, po drugiej stronie dziedzińca. Przez grubą filtr ulewy małpa majaczyła w niskim cieniu zaledwie niewyraźną plamą.

Orangutan Nieboszczyka też mieszkał w misji. Był okropnie stary, brzydki jak siedem teściowych, cuchnął i bez przerwy popuszczał moc. Wieczoru ich przybycia ukradł de la Croix kapelusz i koszulę i naszczał mu pod moskitierę. De la Croix ganiał go potem z pożyczonym od ludzi Wrońskiego kałasznikowem; słyszeli z mroków nocy gromkie przekleństwa teologa, gulgotanie i skrzeki zwierzęcia oraz wielojęzyczne okrzyki dzieci Ducheé. Dzieci dokarmały pogrążone w demencji złośliwe bydlę, najwyraźniej zafascynowe antyestetyką jego powierzchowności – to się zdarza u dzieci, Daniel zaobserwował podobne zjawisko u córek Belli. De la Croix ostatecznie nic nie zdziałał, zaczęło lać i musiał wycofać się w sromocie. Od tamtej pory nie opuścił leprozorium. I bardzo dobrze, bachory wywarłyby na nim krwawą zemstę. Było ich czworo, najstarsze czternaście, najmłodsze osiem lat (wnuki, założył wpierw Daniel, bo doktor wyglądał na swoje osiem krzyżyków; lecz Wroński wyprowadził go z błędu), z twarzy niezwykle urocze, jak zazwyczaj dzieci mieszanej krwi. Swobodnie przeskakiwały z miejscowego narzecza na francuski i angielski: w narzeczu mówiły matki, po francusku ojciec, a po angielsku telewizja. Obecnie poza dręczeniem orangutana niewiele miały do roboty. Orangutan Nieboszczyka – według ralaacji Ducheé – zjawił się w misji pięć lat temu, wraz ze swym panem, który, jako się rzekło, był nieboszczykiem. Natknęto się na nich o świcie na schodach szpitala, mężczyzna ścisnął jeszcze w dłoni sznur zawiązany na łapie małpy. Nie był to nikt z miejscowego plemienia; na co umarł – też nie wiadomo. Orangutan czas jakiś szwendał się dookoła jego grobu, potem dzieci zaczęły go dokarmiać. Wroński stwierdził przy którymś posiłku, jakoby w bardzo podobny sposób stary Ducheé zdobył jedną ze swych żon (tę młodszą); ale że jak zwykle się przy tym nie uśmiechnął, trudno orzec, czy żartował.

Zakwaterowano ich w budynku byłego leprozorium, ponieważ stał w pewnym oddaleniu i stał pusty. Pomieszkiwali tu przejezdni ekolodzy, policjanci, raz nawet ekipa filmowa „*National Geographic*”. Po niej została oddzielna chemiczna toaleta. Leprozorium było na tyle obszerne, że pomieścili się tu zarówno Voestleven, de la Croix, Reding i ich sprzęt, jak i Wroński ze swymi ludźmi. Wroński, oczywista, nie sprowadził tu całego oddziału – było to około pięćdziesiąt osób – utrzymywał z nimi łączność przez radio, zdaje się, że patrolowali okolicę, kilka razy pokazał się taki zwiad w wiosce, raz zajrzał nawet do misji na wzgórze; Daniel nie słyszał, o czym wtedy major rozmawiał z żołnierzami. To też byli czarni, chociaż w ubiorze, ruchach i języku bardziej europejscy. Wroński wyraźnie czymś się niepokoił, Daniel stawiał na M'Ato. Po odprawieniu tragarzy nie zamienili już ani słowa na temat sekretnych zamierzeń Kilmoutha. Dopiero wczoraj wieczorem Daniel przydybał Wrońskiego pod ruinami kaplicy, Wroński palił tam samotnie papierosa i w zamyśleniu spoglądał na Mutawahe: kilkanaście drewnianych chat rozrzuconych nad strumieniem bez respektu dla porządku geometrycznego. Akurat nie padało.

– Niepokoi mnie – rzekł Danielowi – precyzja Kilmouthowych namiarów.

– Też się nad tym zastanawiałem: jak on tak może...

– Nie o to mi chodzi – przerwał Redingowi. – Voestleven mówi, że istnieje wzór. Możliwe. Nie znam się. – Wzruszył ramionami, strzepnął popiół. – Specyfikacja, popraw mnie, jeśli się mylę, brzmi następująco: „Jutro w nocy. Ręka we krwi. Spod północnych drzew. Na polu śmierci”.

– Tak.

– Armia Wyzwoleńcza M'Ato przekroczyła granicę.

– Myślisz...?

– To się często zdarzało. Sprawdziłem. Lubi miejsca i momenty wielkiego cierpienia. W końcu skądś ta krew musi się wziąć. I pole śmierci.

– To może być cmentarz.

– Może.

A dzisiaj rano widzieli i słyszeli mimo deszczu wojskowe samoloty przelatujące nad dżunglą, od baz

na północy ku granicy południowo-wschodniej i z powrotem – starożytne maszyny śmigłowe. Ponoć Ducheé dostał jakieś ostrzeżenie od znajomych w rządzie, stary doktor przeżył kilkanaście kadencji w Ministerstwie Zdrowia i był tam po imieniu z połową departamentu.

Daniel wszedł z powrotem do leprozorium. Voestleven leżała pod moskitierą, w szortach i przepoconym podkoszulku, i rozmawiała przez telefon po niemiecku. Pod spojrzeniem Daniela szybko rozłączyła się.

– Co jest?

– Wiedeń? Dobrze słyszałem?

– Tam następny przystanek. O co chodzi?

– Od dwóch godzin gapię się na tę przeklętą małpę i nie widziałem żadnego bachora.

– To co?

Daniel czekał w milczeniu.

– O cholera! – Voestleven zaskoczyła. Poderwała się na równe nogi, wciągnęła i zapięła wysokie buty, schowała telefon do futerału i wsunęła do tylnej kieszeni. – Idziemy.

Ducheé zastali na parterze budynku administracyjnego, na zapleczu, w gabinecie lekarskim przez lata do ostatka przekształconym w salę trofeów myśliwskich; otwarte okno wychodziło na pole cmentarne. Ducheé spał na kanapie, z telewizora z wyłączoną fonią buchało mu w twarz fioletowo-czerwone wideo do jakiegoś techno, z arabskimi podpisami. Chrapał cicho. Nie mieścił się na kanapie (miał jakieś dwa metry wzrostu), gołe stopy opierał na stosie starych ksiąg medycznych.

Voestleven i Daniel wymienili spojrzenia. Śpi; może rzeczywiście nie ma powodów do obaw.

Voestleven wykonała ręką nieskoordynowany ruch – kilka kropel ciepłej deszczówki padło doktorowi na powiekę, usiadł mamrocząc przekleństwa.

– Gdzie samochód? – spytała Voestleven. Po drodze minęli wiatę garażową.

– Co? Cholera, zabrudzicie mi podłogę.

– Doktorze Ducheé ...

– Zapakowałem ich i wyekspediowałem do miasta. Znaczą Noudi i Rekize z małymi. Mogłabyś mi z łaski swojej podać... Dzięki. – Ducheé był praktykującym alkoholikiem. – Dziesięć tysięcy to, przyznaję, sumka nie do pogardzenia, ale mogę zmienić zdanie, jeśli będziecie mnie tak co chwila budzić. Musicie się, do licha, nauczyć, jak przesypiać pewne pory dnia. Tu trzeba obniżyć aktywność organizmu. – Pociągnął jeszcze jeden łyk. – Znałem ja takich, co to...

– Panie doktorze – zirytowała się Voestleven – podpisał pan w imieniu...

– Co, podacie mnie do sądu? – zaśmiał się Ducheé. Wstał, poczłapał do telewizora, wyłączył, poczłapał do okna, wyjrzał, strzepnął z karku robaki, odstawił butelkę.

– A kto jeszcze pana budził? – zapytał Daniel.

– Ten rzeźnik o kubistycznej gębie.

– I o co pytał?

– Aha, dał nogę bez słowa, co? – zarechotał Ducheé układając się z powrotem na kanapie. – Nigdy nie wierz najemnikom. Zwłaszcza jeśli płacisz z góry, a ich naprawdę czeka robota. W sześćdziesiątym czwartym...

– Chryste Panie, doktorze! – zachnęła się Voestleven. – Dlaczego odesłał pan rodzinę? Dzwonili z ministerstwa? Co powiedzieli?

– Akurat! Oni by kiedy się na co przydali! To ode mnie wyciągają informacje. Któraś macocha Noudi ma brata u M'Ata i braciszek się zapowiedział na kolację. Co drugi czarnuch ma tu satkę; ech, to już nie ci komuniści, co niegdyś...

Voestleven błyskawicznie wyjęła swój telefon (gest przypominał odruch znerwicowanych rewolwerowców). Major się nie zgłaszał.

– Przez radio – przypomniał Daniel.

Voestleven z przekleństwem wybiegła po krótkofalówkę.

Ducheé uniósł lewą powiekę.

– Jak wy z nią wytrzymujecie?

– Prawda – mruknął Reding – dziewczyna jest trochę zakompleksiona, rozumie pan: kierownicze stanowisko w tak młodym wieku...

– Niech pomieszka w tym klimacie parę miesięcy, zaraz zejdzie z niej para.

Daniel usiadł w fotelu. Zdjął i wyżył koszulę. Za oknem huczał deszcz, pachniało świeżo obróconą ziemią. Ze ścian spoglądały mokrymi ślepiami łby dzikich zwierząt. Ducheé oddychał głęboko.

Kłątwa jakaś, myślał Daniel, najazd za najazdem, czerwone mrówki i czerwoni Murzyni; lepiej zejść z drogi pechowi. Co robi Armia Wyzwoleńcza z białymi? W najlepszym razie bierze jako zakładników.

– Pan został – mruknął.

– Ja zawsze zostaję.

– Oszczędzają pana?

– Dotąd.

– Bo jest pan spowinowacony z miejscowymi?

– Bo mam szczęście. To jedyna przyczyna. To nie są żołnierze, synu, nie myśl tak o nich. Zobaczysz ich oczy, to zrozumiesz – po walce, prosto z bitwy – zaćpani śmiercią. Potem masakrują całe wioski i rozczłonkują maczetami kobiety, dzieci. Nie dlatego, że otrzymali taki rozkaz, że mieli jakiś powód, ale ponieważ nie mogą się powstrzymać. – Uniósł powieki, spojrzął na Redinga. – Wiedzieliście przecież, w co się pakujecie.

– Pan zostaje.

– Taa. – Z powrotem zamknął oczy. – Mam osiemdziesiąt dwa lata. To jedyne miejsce na Ziemi, w którym nie jestem starcem.

– Nie boi się pan?

– Synu, ty to dopiero się boisz...!

Daniel siedział w milczeniu czując jak jelita skręcają mu się w twardy węzeł. Doktor zaczął chrapać. Daniel, który miał bardzo dobry wzrok, przyglądał się z fotela licznym zdjęciom pokrywającym niemal całą przeciwległą ścianę pod rzędem trofeów. Na każdym zdjęciu widniał Ducheé, łatwo rozpoznawalny dzięki swemu wyjątkowemu wzrostowi. Jeśli sam, to nad truchłem zabitego właśnie zwierzęcia i z bronią w ręku; zazwyczaj jednak w towarzystwie, białych i czarnych. Ci pierwsi się uśmiechali, ci drudzy w większości nie, co dziwnie nie zgadzało się ze stereotypami.

Opuścił wzrok na doktora i nagle jasno zdał sobie sprawę, że mu zazdrości. Kategorie rozumowania tego człowieka znajdowały się całkowicie poza zasięgiem Redingowego pojmowania. Nigdy nie byłby w stanie położyć się i zasnąć w takiej sytuacji. Ten facet był szalony – albo też to z Danielem było coś nie tak. Niemniej zazdrościł mu z całej duszy.

Jeszcze pięć, dziesięć minut, kilka milionów kropel więcej – i poderwał się, wypadł na korytarz, wyjął telefon. Szepnął: – Voestleven.

Przez długi czas się nie zgłaszała. Wyszedł na tyły budynku; po prawej miał cmentarz, po lewej zachwaszczony stok schodzący do samej dżungli. Deszcz rozbijał się pół metra przed jego stopami.

– Słucham.

– Reding. Wycofuję się.

– Co?

– Tu kamień na kamieniu nie zostanie. To nie jest Roatina, to nie jest Mi-Tian. Przed mrówkami uciekliśmy, byliśmy mądrzy.

– Daniel, ty skur...

– No co? No co? Mam się dać zarznąć dla twojego Kilmoutha? Nawet Wroński wziął nogi za pas.
– Wroński jest ze mną. Rozstawił ludzi, dostaniemy cynk, jak tylko się pokaże ta banda M'Ato. To już tylko jeden dzień, dzisiaj w nocy załatwimy sprawę i zmywamy się.

– Ja zmywam się natychmiast.

– Jak? – parsknęła Voestleven. – Ile ujedziesz? I czym? Tym stuletnim minivanem?

– Wezwij helikopter.

– Gównu.

– Ty, kurwa, jesteś nienormalna! – wydarł się Daniel do telefonu. – Dużo nam przyjdzie z uprzedzenia przez Wrońskiego! Pół godziny większego strachu. Niby co poradzą przeciwko armii chłopaczkowie majora? Naplują na nią? A ty co, może do ambasady zadzwonisz? Pomyśl logicznie, kobieto! Te parę tysięcy nie jest tego warte!

– Dla ciebie parę tysięcy, dla mnie życie. Nędzny pętał. Leć już lepiej do sracza.

Rozłączyła się.

Daniel bezradnie usiadł na progu. Spozstrzegł, że w rękę została mu koszula; zarzucił ją na ramię. Z deszczu wybiegła szara jaszczurka, zerknęła na Redinga i smyrnęła pod budynek. Przez chmury przebił się ryk silników odrzutowca.

Dla niej życie, dla mnie śmierć, pomyślał. Kariera uderzyła jej do głowy. Straciła poczucie rzeczywistości. To jest dzicz i rządzą w niej prawa dziczy. W moim kontrakcie nie ma ani słowa o podejmowaniu takiego ryzyka. Każdy sąd przyzna mi rację. Już wtedy na lotnisku powinienem był się zorientować. W Afryce trwa właśnie rok niespokojnego słońca. Lećmy do Wiednia. De la Croix! Przecież poprze mnie, nienawidzi tego klimatu, tego miejsca...

– Czego?

– Reding. Wiesz, że Czerwony M'Ato idzie prosto na nas?

– Ta, Voestleven już dzwoniła.

– Chłopie, musimy stąd spieprzać, póki jeszcze możemy!

– Bo ja wiem... To już tej nocy. Zauważyłeś, że wszyscy mieszkańcy wioski są ochrzczeni? Belloa, ten dziadyga, wspominał mi, że...

No tak, zapomniałem: de la Croix jest monomaniak i obsesjonat; wiedział był Kilmouth, kogo nająć.

Ja to jeszcze najbardziej przypadkowo się im trafiłem. Zdaje się, że mieli mnie na liście, robiłem przecież te ekspertyzy dla KS i kierowałem do nich ochotników na „drugą turę”. I co z tego miałem? Wszystkiego paręset funtów. Trzeba było sezonu ogórkowego i stada dziennikarzy, żeby się szanowne komisje raczyły zainteresować; ale jak już się zainteresowali, zamiast forsy, posłali śledczych od etyki. Oczywiście, skoro krzyczą, zakażmy! Niech prywatny biznes dostanie wyłączność na kolejną kurę znoszącą złote jaja! Zabronili na zwierzętach, teraz zabronią na ludziach – to na kim, u licha, mamy prowadzić eksperymenty? Myślałby kto, trulem ich, czy co. Medycyna od lat grzebie w ludzkim mózgu, schodząc coraz głębiej, w coraz niższe struktury. Sprzęgami też przecież nie ja zacząłem się zajmować; i nie mnie pierwszemu zdarzyły się wypadki, nie pierwszemu śmiertelne. No ale do placówek badawczych prywatnych firm nikt nie nasyła komisji. Kto kiedy słyszał o dziennikarzach w laboratoriach korporacji, w Ameryce Południowej czy tu, w Afryce? Ciska. Pół roku później robiłem to samo u Meiznera i pies z kulawą nogą nie zaglądnął. Lecz pech posiada nawyki seryjnego mordercy: Meizner padł i gdyby nie propozycja tej tymczasowej przybudówki KS-u, uczyłbym znudzone półgłówki w jakiejś zapadłej dziurze w Walii.

Daniel wywołał z kolei Remuster Ltd., ale nikt nie odbierał, tylko program sekretaryjny wygłaszał gładkie formułki. Remuster to była ta podspółka KS, która oficjalnie zatrudniała Daniela. W kontrakcie była mowa, bardzo ogólnikowo, o „zabezpieczeniu technicznej strony badań terenowych”. Tak naprawdę Reding odpowiadał za transport, konserwację i ostateczne użycie KS-owego intrenaka. Jak dotąd, do

takiego użycia nie doszło. Z konserwacją to też był pic na wodę, bo Danielowi nie udostępniono nawet schematu budowy intrenaka. Reding miał tylko w odpowiedniej chwili nacisnąć spust i nadzorować transmisję.

Nikt o tym nie mówił na głos, ale rzecz cała była mocno wątpliwa pod względem prawnym, zwłaszcza gdyby delikwent miał się okazać obywatelem UE lub NAFTA – a to Danielowi przeznaczono rolę ostatniego wykonawcy, tego, którego by potem pytano, dlaczego nie sprzeciwił się poleceniom. Bogiem a prawdą mogli nająć do tej roboty byle kogo, Reding im się trafił za pół darmo w ramach przeceny, jego kwalifikacje stanowiły niespodziewany bonus.

Z początku Daniel myślał, że będzie to nawet interesujące; szczególnie zafrapował go ów wyekstrapolowany z danych historycznych algorytm, tajemnicza reguła niejasnych zależności, która objawiła się była anonimowym analitykom Kilmoutha z taką wyrazistością, by angażować niemałe przeciw fundusze w projekt w całości oparty na jej przewidywaniach. I bez wątpienia było coś na rzeczy. Dotychczas grupa Voestleven sprawdziła osiemnaście lokacji czasowo-przestrzennych i przynajmniej w połowie przypadków wszystkie zaobserwowane fakty zdawały się potwierdzać Kilmouthową teorię. Że nie udawało się wprowadzić planu w życie, to inna rzecz; parę razy ledwo uszli cało, posądzeni o próbę zamachu na świętego. Plan był o tyle trudny do wykonania, że wskazywane przez zgrubne koordynaty osoby zdecydowanie nie należały do kategorii zawsze łasych na łatwy zarobek oportunistów, którzy bez oporów zgodziliby się na propozycję Voestleven, popartą odpowiednio wysoką sumą. Alternatywę stanowiło brutalne porwanie i Voestleven, trawiona gorączką frustracji, najwyraźniej coraz bardziej przychyliła się do tej opcji.

Czytał historyczne analizy, te dane wejściowe. Objawienia najczęściej miały miejsce na wsi lub w małych miejscowościach, prawie nigdy w metropoliach. Doznawali objawień ludzie już wierzący i przeważnie młodzi, częstokroć dzieci. Przewagę miały kobiety. Objawiał się Jezus, Matka Boska, święci, aniołowie. Za pierwszym razem nigdy w miejscach publicznych. Preferowaną porę stanowił świt; także południe. Porę roku – wiosna. Istniała korelacja pomiędzy wiekiem teofantów, a prawdopodobieństwem grupowości objawienia. Wyraźnie dyskryminowaną pod ich względem warstwę społeczną stanowiła inteligencja.

Coś się poruszało za grubymi firanami dżdzu. Wstał zaciekawiony. Wielka Murzynka pracowała rytmicznie w mętnych strugach ciepłej wody. Co ona tam robi? Postąpił naprzód osłaniając oczy. Kopała świeże groby. Dojrzała go, wyprostowała się, uśmiechnęła zapraszająco.

– Akurat...! – zazgrzytał zębami.

Pobiegł do leprozorium. Torbę miał prawie spakowaną, zostało parę rzeczy wrzucić. De la Croix coś czytał i tylko zerknął przez ramię. Kontener z intrenakiem stał w kącie. Proszę bardzo, nie jestem złodziejem. Przecież poradzą sobie beze mnie.

Z torbą na ramieniu pognął za kaplicę. Pod ruinami kończył się prosty dojazd od wioski; tu, pod wiatą, stały samochody: rdzewiejący minivan i ladrover z bebechami na wierzchu. Ladrovera i jeepa brakowało. Daniel zajrzał do minivana. Kluczyki, oczywiście, w stacyjce – takie tu panowały zwyczaje. Wsiadł. Benzyna – trzy czwarte. Okay. Zapalił. Usłyszał równy warkot silnika i od razu się uspokoił.

Dobrze. (Odetchnął głęboko). Dobrze, wszystko się ułoży. Uda mi się. Mapa. Miał własną, ale w dużej skali. Zajrzał do schowka – jest: laminowana, stara, pokreślona. Po prawdzie nie bardzo jest się tu jak zgubić, to nie pustynia, nie sawanna, droga prowadzi prosto na północny zachód i dopiero sto kilometrów dalej się rozdziela. Skrzyżowanie jest podpidane „Wodopój”. To świetnie się składa, bo M'Ato idzie z przeciwnej strony. Ile zrobię na takiej nawierzchni, w deszczu? Trzydzieści-czterdzieści. Za góra cztery godziny powinienem być bezpieczny.

Gdy przejeżdżał przez Mutawałę, z wnętrza niskich chat odprowadzali go wzrokiem tubylcy, apatyczni o tej porze. Zastanawiał się, ilu z nich uciekło na wieść o zbliżaniu się niedobitków Armii

Wyzwoleńczej. Raczej niewielu. A przecież skoro Ducheé wiedział dzisiaj, oni wiedzieli wczoraj. Mimo to pozostali. Nie rozumiał tego. Mogli nie mieć toalet, ale na pewno mieli telewizory i widzieli, co bojownicy z sąsiedniego kraju robią z miejscową ludnością. Na granicy dżungli stał Murzyn Wrońskiego, pomachał mijającemu go Redingowi. Na pewno miał przy sobie krótkofalówkę.

Daniel włączył radio, poszukał angielskojęzycznej stacji. Samo w sobie zadanie – prawie wszędzie lecą piosenki po angielsku, trzeba czekać serwisów, żeby się przekonać. W myślach sprawdzał listę: paszport – w torbie; gotówka – trzysta dolarów, kilkadziesiąt funtów. Trzeba podzielić na łapówki...

Chryste Panie, przecież ja nie mam wizy! Jestem tu nielegalnie! Żaden celnik na lotnisku mnie nie przepuści – w każdym razie nie za bakszysz, na jaki mnie stać. Zgłoszę się do ambasady – ale będę musiał się jakoś wytłumaczyć. Wskazać KS? Dopiero się wkopię...!

Klął i walił pięścią w kierownicę, znowu przerażony i wściekły. Cholerna Voestleven! Nawet nie musiała grozić – groźba jest tak oczywista, że tylko taki kretyń jak ja mógłby ją przeoczyć.

Zatrzymał samochód, wyłączył silnik. Znowu deszcz zawatował mu uszy, deszcz i trzaski radiowe. Wyłączył odbiornik. Świat za szybami był gniazdem śmierci, zarastał okna matowym bielmem. Schwycony nagłą klaustrofobią Daniel otworzył drzwiczki. Zapach afrykańskiego deszczu wydał mu się nagle dziwnie orzeźwiający.

Siedział tak, zamknięty w ciasnej klatce zmysłów, niezdolny do podjęcia żadnej decyzji, dokonania koniecznego wyboru. Zawrócić – śmierć; nie pewna, lecz jednak prawdopodobna. Jechać dalej – przesłuchania, proces, grzywna, więzienie, diabli wiedzą, co, imaginacja strachu pracuje pełną parą; i nie do uniknięcia.

Walka tchórza z oportunistą, pomyślał. I kto tu wygra? „Nędzny pętał”.

Wyjął telefon.

– Bella.

Długo. Wreszcie.

– Tak?

– Gdzie jesteś? W domu?

– Daniel? Nie. Jadę do Esposito.

– Cholera.

– A co?

– Potrzebuję numer Swansona.

– Tego adwokata?

– No. Zostawiłem e-notatnik w Londynie, a wiem, że do terminarza go nie przepisałem, ani nie przekopiovałem bazy do satki.

– Na co ci tam Swanson?

– Muszę się jakoś urwać; pamiętasz, mówiłem ci o tutejszych maoistach...

– Aha, skansen dwudziestego wieku z żywymi atrakcjami.

– Możesz sobie żartować, ale dostałem potwierdzenie, że parę tysięcy tych pojebańców idzie przez granicę prosto na nas i nie mam zamiaru...

– ...

– ...

– Daniel?

– ...

– Daniel?

– ...

– Daniel, do cholery, nie rób takich kawałów!

– ...

– Jezu, Daniel!

Obaj mieli kałasznikowy, proletariusze wszystkich krajów od prawie wieku łączą się pod tym znakiem. Stali i gapili się na Daniela, nawet specjalnie nie celując – ale palce spoczywały na spustach, nie na osłonach. Młodszy był półnagi, czarny tors lśnił od deszczu; starszy miał na sobie panterkę z jeszcze nie zaszytymi dziurami po kulach. Panterka stanowiła część standardowego umundurowania oddziałów rządowych, nawet nie zdarto z niej naszywek. Dla odróżnienia mężczyzna nosił zatem na lewym ramieniu opaskę z logo zawierającym między innymi czarną, zaciśniętą pięść i czerwoną gwiazdę. Daniel dobrze znał to logo: telewizyjne kanały newsowe opatrywały nim wszystkie informacje dotyczące Armii Wyzwoleńczej M'Ato.

Żołnierze zaczęli żartować między sobą. Daniel siedział jak skamieniały, zdobywszy się jedynie na mały ruch palca, którym wyłączył telefon. Ze strachu prawie nie mógł oddychać. Bał się też zmienić pozycję ciała i mięśnie drętwiały mu boleśnie.

Tamci jeszcze pośmiali się, po czym młodszy obszedł samochód od tyłu, znikając Danielowi z oczu. Starszy (Jezu, przecież on nie ma nawet trzydziestki; a tamten drugi to jeszcze nastolatek) ruchem lufy wyprowadził Daniela z wozu i ustawił przed maską. Daniel, któremu nie chciało się wcześniej ubrać koszuli, przyjmował teraz wodne bicz na nagie plecy. Młodszy wyjął z minivana torbę, położył przed sobą, szarpnął za zamek. Starszy podszedł do niego i zaczęli wyrzucać zawartość. Starszy wyjął golf Redinga i odwiesiwszy karabinek na pasku, jął przymierzać mokre ubranie. Był teraz odwrócony do Daniela tyłem. Młodszy szczyrzył zęby. Zaśmiawszy się z jakiegoś dowcipu towarzysza, uniósł kałasznikowa i strzelił Danielowi w głowę.

Daniel Reding zrozumiał, że umrze moment wcześniej, kiedy jeszcze wisiał w powietrzu gardłowy śmiech Murzyna; może właśnie dzięki temu śmiechowi. Natychmiast przeskoczył do stanu euforii: głowa lekka, dłonie mrowią, pusta energia spływa nerwowodami. Skoczył na tego w panterce i zaczął walić jego łbem o karoserię, torba spadła w błoto. Strzał, który przeszedł tuż obok, usłyszał, ale w ogóle nie zwrócił uwagi. Śmiał się i szarpał głową Murzyna na wszystkie strony, jakby postanowiwszy wyładować całą tę nadmiarową energię w próbach oderwania jego czaszki od kręgosłupa.

Potem się wszystko pomieszało, bo tamten przewrócił się na ziemię, wpółzaplątany w zielony golf oraz rzemień kałasznikowa, pociągając za sobą Daniela. Młodszy żołnierz skakał nad nimi wykrzykując coś w deszcz (zapewne przekleństwa) i na przemian: składając się do strzału i kopiąc skłębione ciała. W końcu (po pięciu sekundach) albo rozeźlił się aż do tego stopnia, albo też obsunął przez nieuwagę palec, bo wystrzelił w walczących całą serię.

Daniel poczuł kule, ale nie poczuł bólu – na razie były to tępe ciosy, wgniatające go w błoto drogi. Przymgliło mu trochę wzrok, zamrowiło podniebienie. Złapał strzelającego za kostkę (tamten miał wysokie, wojskowe buty) i przewrócił. Wpełzł na niego, niczym wąż na miotającą się ofiarę. Świadomością ogarniał tylko jeden fakt: teraz mogę mu zrobić wszystko. Przez krótką chwilę widział szeroko otwarte oczy nastoletniego bojownika, przecięły się ich spojrzenia, tamten też musiał zajrzeć Danielowi w oczy – sam zaś miał w swoich dziecięcy strach. Daniel wcisnął w nie kciuki. Każdy cywilizowany człowiek odruchowo powstrzymuje rękę, gdzieś na najgłębszym uznając świętość ludzkiego ciała. Daniel napał całym ciężarem. Potem rozdrapał chłopakowi krtań.

Wstał i oparł się o wóz. Leżeli u jego stóp. Coś piekło go w prawym boku. Deszcz zmywał krew i musiał wymacać ranę. Druga była niżej, na biodrze, ale bardziej powierzchowna. Poza tym starszy wybił mu kilka zębów i złamał dwa palce. Rozwłócone po drodze rzeczy Redinga namakały brudną deszczówką. Schwycił i podniósł golf, teraz brązowy. Zaśmiał się na bezdechu. Obaj nie żyli, jeden z kulą w mózgu, drugi zabity przez Daniela. Patrzył na zwłoki pierwszego i chichotał. Widział teraz, jak poszła seria. Szanse mniejsze niż w rosyjskiej ruletce; na dobrą sprawę sam powinien dostać kulę w łeb. Ale nie. Ale żył. Coś niesamowitego. Nie rozumiał, w jaki sposób, lecz to zmieniało wszystko, nawet barwę

ślota i smak krwi, nawet ból, który zaczynał się właśnie rozrastać w jego ciele. Odwróciły się bieguny. Coś jeszcze potężniejszego. Przedtem oddychał, teraz wyżerał powietrze. Wróci do Anglii i, jeśli będzie miał taki kaprys, w rok zostanie miliarderem. Wiedział to.

Usłyszał pokrzykiwania z prawej strony drogi. Porwał kałasznikowa starszego M'Atowca i pokuśtykał w przeciwnym kierunku. Dżungla wessała go z cichym westchnieniem.

Od razu powiedział sobie, że powinien jak najszybciej jak najbardziej oddalić się od drogi. Ponieważ nie był w stanie biec, musiał postawić na wytrzymałość przedzierał się zatem przez mokry gąszcz w jednostajnym tempie, noga lewa i noga boląca, z premedytacją starając się wpaść w naturalny rytm wysiłku. Kałasznikow był ciężki, nieporęczny, zawadzał, pasek ocierał bark. Daniel nie słyszał już ludzkich głosów, dochodziły go za to mimo ulewy trzaski strzałów, przytłumione echa, nie do rozpoznania, z której strony. Tak naprawdę jednak głównie słyszał własny oddech. Widział też dżunglę bardziej jako jednolite, niezmienną tło, aniżeli poszczególne drzewa, konfiguracje zieleni. Wysilek zawężał pole widzenia, białe watując pole widzenia. Po prawdzie więc nie mógłby Daniel rzec, w którym kierunku podąża i czy nie kręci się przypadkiem w kółko. Zresztą robiło się coraz ciemniej. Deszcz nie ustawał. Gdy unosił spojrzenie, zalewało mu oczy. Nie widział tego, ale czuł, że szybko traci krew. Kręciło mu się w głowie i ćmiło wzrok. Spostrzegł, że idąc opiera się o pnie i konary, czepia lian; w istocie zataczał się już od drzewa do drzewa. Nie chciał się zatrzymywać, lecz wtem ocknął się przewieszony przez obalony chlebowiec. Zorientował się, że trwa tak od dłuższego czasu. Było niemal zupełnie ciemno, postrzegał otoczenie wiązkami cieni. Deszcz zelżał. Wyprostował się. Nie miał uczucia w prawej nodze. Zgubił gdzieś kałasznikowa. Nie wiedział, z której strony przyszedł, w którą zmierzał. Echa eksplozji i wystrzałów dochodziły z lewej, ruszył więc w prawo. Podpierał się krzywą gałęzią; szedł powłócząc nieczułą kończyną. Nie miał pojęcia, kto strzela, skąd te wybuchy. Przede wszystkim, jakim cudem żołnierze M'Ato znaleźli się na drodze. Nie stamtąd mieli nadejść; to w ogóle był odwrotny kierunek. Może istotnie więc popełnił błąd uciekając z Mutawahy. Nic nowego, pomyślał sarkastycznie. Daniel Reding słynie ze swych nieodmiennie złych wyborów. Wda się zakazanie i zdechnę tu, zeżrą mnie padlinożercy. Gówno, skontrował. Nie umrę. Zabiłem ich. (Teraz liczył już dwóch). Dam radę. Jakoś. Czyniąc kolejny krok szczyrzył zaciśnięte zęby. Raz, dwa, raz, dwa; zawsze tylko jeden więcej. Poślizgnął się i upadł w strumień. Parę metrów dalej wypadł z chaszczy cień ludzkiej sylwetki. Błysnął poczwórny ogień gazów spalanych ładunków, zachlupotała woda. Widać facet spudłował. Daniel odtoczył się w krzaki. Tam strzelano nadal, ktoś odpowiadał długimi seriami. Łupnął granat, przechyliło się z trzaskiem drzewo. Co tu się, kurwa, dzieje? Odczołgał się, potem wstał podciągając się na lianie. W tej chwili był cały umazany w błocie, jakby wciągnął na siebie grubą, gruzłowatą kombinezon barwy popiołu, także na twarz. Coś pełzło mu po karku, strącił. Z tyłu zahuczało głucho, taki przeciągły, suchy grzmot. Zestrzelili samolot? A może to samolot coś zrzucił? Przyspieszył kroku – to znaczy teraz włókł się z nieco większą energią. Wspomnienia scen z filmów o wojnie w Wietnamie uderzały coraz wyższymi falami. W każdym cieniu żółtek. Gdzie są nasi? Wezwać helikoptery! Słyszał furkot ich wirników. Tymczasem: jeszcze tylko jeden krok, jeszcze jeden.

Wyszedł z dżungli na północny kraniec cmentarza. Już zaledwie mżyło. Była noc, ale wszędzie w misji paliły się światła, wojskowe reflektory, teren oświetlały też dwa transportowe śmigłowce schodzące właśnie do lądowania, kontrast więc był upiorny. Na tylnym patio leprozorium stali: Voestleven, de la Croix i Wroński; w milczeniu patrzyli w stronę Daniela, Voestleven przez obiektyw minikamery, de la Croix – wielką lornetkę. Daniel nie zdawał sobie z tego sprawy, ale całą lewą rękę miał we krwi. Wroński mówił coś do radiotelefonu. Ze śmigłowców tymczasem wyrzucano ciała. – Nie umrę – powiedział Daniel i wpadł do świeżego grobu. Brudna woda zamknęła się nad nim z krótkim poszumem.



– Ta przeszła, a tę wyjąłem, o, kość nieuszkodzona. Z ręką gorzej, tu trzeba neurochirurga, bark, łokieć, promieniowa, drzazgi. Mnóstwo czyszczenia.

– Zakażenie?

– Boże drogi, widzisz przecież. Co mogę powiedzieć? Zrobiłem, co trzeba.

– Więc w sumie okay?

– He-he. Na razie żyje.

– To bardzo ważne.

– Dla niego? Nie sądzę. Spójrz na przykład tutaj: kilkanaście pokąsań. Widzisz, jaką ma gorączkę?

– Tylko godzinka. Niech pan go obudzi, doktorze. Powinien być przytomny.

– Jestem.

Uniósł powieki. Ducheé wycierał ręce w błękitny ręcznik. Uśmiechał się kątem ust. Znajdujące się gdzieś poza polem widzenia owady brzęczały jednostajnie.

Nad Danielem pochyliła się Voestleven.

– Słyszysz mnie? Mam tu intrenaka. Sam mnie przeszkoliłeś. Mamy mało czasu. Za trzy godziny wstanie słońce.

I:

– Czy ty wierzysz w Boga, Danielu? – To de la Croix. Reding nie widział go; zapewne teolog stał za jego głową.

– Pić.

Dali mu chłodną wodę. Wypił przez rurkę. Chciał więcej.

– Wystarczy – powiedziała Jeani, czarna pielęgniarka doktora Ducheé.

– Daniel...?

– Szczerze wątpię – mruknął gapiąc się w sufit. – Właśnie popełniłem morderstwo. Co prawda w samoobronie...

– Są precedensy – szepnął de la Croix.

– Nie mieszczę się w statystykach.

– Na początku – na początku nie było żadnych statystyk.

– Jestem obywatelem Wielkiej Brytanii, nie wykręcicie się.

– Kurwa mać, Reding, nie zrobisz mi tego! – Voestleven pochyliła się nad nim, wparta obiema rękami w krawędź stołu operacyjnego (bo to chyba był stół operacyjny). W ostrym świetle widział czarne szpileczki jej żrenic.

– Pięć milionów.

– Co? – zachnęła się.

– Pięć milionów funtów. Bez podatku. Znasz konto.

– Zdaję sobie sprawę, że masz gorączkę...

– Zadzwoń do Remustera. Na pewno masz jakiś specjalny, alarmowy numer.

– Wybij to sobie z głowy!

– Zadzwoń – warknął de la Croix.

Voestleven wyprostowała się, obróciła. Tam, nad Danielem, musiał się właśnie odbywać prawdziwy pojedynek na spojrzania. Voestleven miała w oczach laser, ale znowuż de la Croix był ze skały. Mógł się Daniel domyślać rozstrzygnięcia słysząc rzucone głosem Voestlven: – Remuster siedem.

Podczas gdy ona negocjowała, on powoli usiadł i zsunął nogi ze stołu. Był nagi, choć ciasno obandażowany od pępka do obojczyków, z lewą ręką na szynie, wielkim opatrunkiem na lewym biodrze. Pocił się. Czemu okna nie otworzą? Drzwi też były zamknięte – przez cały czas stał pod nimi Wroński

i w milczeniu przyglądał się scenie.

Telefon Daniela utonął w błocie gdzieś na drodze i kiedy teraz pożyczył aparat od de la Croix, jedyny numer, jaki zdołał sobie przypomnieć i wystukać drżącym palcem, to był numer Belli. Zapomniał, jak skończyła się ich poprzednia rozmowa i przez kilka dobrych minut musiał Bellę uspokajać; nie wchodził już w szczegóły aktualnego stanu swego zdrowia. W istocie okłamał ją. Wroński i de la Croix przyglądali się mu uważnie. (Ducheé w międzyczasie wyszedł). Wiele mówi o człowieku sposób, w jaki on kłamie. Reding łąał teraz zupełnie inaczej – krótko, sucho, twardym głosem – i Bella mu uwierzyła. Poprosił ją, żeby równolegle się połączyła z jego bankiem i trzymała na linii dialogowy program zarządzający; turingówka powie, gdy przelew wpłynie na konto.

Tak więc czekali. W Remuster Ltd. bez przerwy pytywano o coś Voestleven, odpowiadała monosylabami. Ducheé wrócił z wysoką kulą, śrubokrętem dopasował długość podpory do wzrostu Daniela. Reding stanął na nogi, złapał się kuli; mało nie przewrócił, pielęgniarka musiała go podtrzymać. Upuścił telefon – stary doktor złapał go w locie, wszyscy wytrzeszczyli oczy. Daniel pokuścił o kuli w te i we w te. Sala kołysała się na boki, huczało mu w uszach – już za chwilę jednak był lekki jak balon i każde dotknięcie skóry czuł niczym przypalenie pogrzebaczem. Ducheé bez wątpienia podał mu jakiś środek znieczulający. Ciekawe, jak długo będzie on działał.

– Nie ma pan tam nic innego do roboty, doktorze? Na pewno mają mnóstwo rannych.

Ducheé skrzywił się.

– Zabitych, to tak. A swoimi rannymi zajmują się sami. Już pędzę ogłaszać się wszem i wobec wielbicielem wojska...!

– To rządowi? Skąd oni się tu wzięli?

Okazało się, że wyszli Armii Wyzwoleńczej naprzeciw i rozbili ją kilkadziesiąt kilometrów od granicy; w każdym razie – rozproszyli. Niedobitki, maruderzy, dezterterzy – ci charakterystyczni dla Afryki zbrojni włóczędzy – uciekali we wszystkie strony. Rządowi polowali na nich, głównie z powietrza, wykorzystując przeważnie latający złom produkcji ZSRR, jaki pozostał w armijnych magazynach z czasów *ancien régime'u*. Mutawaha stała się tymczasowym punktem wypadowym szwadronu kawalerii powietrznej – tu przynajmniej siadła maszyna dowództwa i tu gromadzono zwłoki M'Atowców. Jak wyjaśniał Ducheé, był to jedyny pewny sposób ustalenia faktycznej liczby wyeliminowanych rewolucjonistów – bo gdy spytać tubylca, ilu załatwił, zawsze skonfabuluje.

Czy Daniel mógł był przewidzieć tę operację? Nie; nie miał żadnych danych po temu. Więc? Pech? Kłątwa? Wiktyologia zna inne terminy.

Wrócił także de la Croix, z trzema egzemplarzami standardowej umowy dla teofantów, przygotowanej przez prawników Remustera (to znaczy Kilmoutha). Notabene dotychczas tylko dwa razy zdołali w ogóle doprowadzić do jej podpisania (nigdy zaś – realizacji). Daniel znał treść tych dokumentów dosyć szczegółowo, czytywał je usiłując przewidzieć zakres swej odpowiedzialności jako wykonawcy.

De la Croix podał mu papiery i długopis. Przyniósł także sprany szlafrok z zapasów szpitala. Reding ubrał go z trudem, trzykroć podchodząc do lewej ręki.

Jeani wywołała doktora Ducheé, stary odszedł macając się po fartuchu za zapodziałą gdzieś piersiówką. Kilmouthowcy zostali sami.

De la Croix przypatrywał się Danielowi z deprymującą uwagą, prawie nie odwracając spojrzenia.

– No co? – warknął nań Reding.

De la Croix tylko pokręcił głową.

– Niezbadane są wyroki boskie.

– Jest decyzja – odezwała się głośno Voestleven. – Forsa idzie. Podpisuj i kładź się, Reding.

– Moment. Bella?

- Jeszcze nie – odparła z Londynu Bella. – Czy ty zdajesz sobie sprawę, która tu jest godzina?
- Oplaci się.
- Ile tego ma być?
- Zobaczysz.
- Daniel...! Czekał. – I po chwili: – No ładnie. Pięć mega. O to ci chodziło?
- Tak. Dzięki, Bella. Przelej to i idź spać. Dobranoc.

Podpisał się na umowach lewą ręką, kreśląc drżącą dłonią nieprawdopodobne kulfony. Wroński i de la Croix poświadczali.

Voestleven schowała telefon i podniosła z szafki intrenaka. Daniel położył się na stole na brzuchu, mimo znieczulenia sycząc z bólu. Podszedł Wroński, żeby pomóc przytrzymać Redinga; na ten czas wyłączył swój radiotelefon, który do tej pory nieprzerwanie trzeszczał, kaszlał i mamrotał w pięciu językach. Wroński pachniał potem, ziemią i benzyną; de la Croix – tylko potem. Voestleven, gdy się pochyliła nad stołem z intrenakiem w uniesionej dłoni, roztoczyła woń środka przeciwko owadom. Danielowi wracały ostatnie zmysły. Teraz czuł także smak tej wody, którą dali mu do wypicia – trochę mango, trochę cytryny, dużo nadmanganianu potasu.

Oparł czoło o stół i zacisnął zęby. Voestleven przycisnęła czaszę urządzenia do potylicy Redinga. Skóra mu ścierpła. Kobieta nacisnęła spust. Uderzenie odchyliło mu głowę, stłukł sobie boleśnie nos.

- Okay? – wycedził.
- Wygląda dobrze, tylko skóra podrażniona. Przełknij ślinę.
- Wiem przecież.

Wykonał wszystkie podstawowe testy i usiadł. Podali mu kulę. Pomacał się po karku.

– Co teraz?

Voestleven spojrzała na zegarek.

- Dwie godziny z minutami. Utrzymaś się na nogach?
- Jeśli nie padnę z głodu.
- Dobra. Idę ustalić transmisję.

Skinęła na Wrońskiego. Major wzruszył ramionami. Ubezpieczał Daniela z lewej strony, gdy przechodzili korytarzem i holem do głównych drzwi szpitala. Tu już dobrze wyczuwalny był ów ciężki smród Afryki, mimo chłodu nocy unoszący się w powietrzu półtora metra nad ziemią. Rozbudzeni pacjenci rozmawiali ze sobą przez ściany w śpiewnym narzeczu. Ktoś okrutnie charczał.

Wyszli przez południowe drzwi. Na krzywej ścianie kaplicy wisiały pod różnymi kątami wielkie, kanciaste reflektory, jeden nie do końca zamocowany wahał się na wietrze w te i we w te, światła i cienie przekładały się wzajemnie, skrzydło na skrzydło. Między leprozorium a strumieniem stał helikopter, przedpotopowy model Układu Warszawskiego; drugi, większy, wznosił się zza ruin kaplicy, gdzie układano ciała. Żołnierzy było stosunkowo niewiele, większość zajmowała się liczeniem zwłok i odpędzaniem czarnych z Mutawahy, którzy zgromadzili się tam chyba całą wioską, łącznie z kobietami z zaspanymi dziećmi. Wyglądali, jakby szykowali się do exodusu. Żołnierze wrzeszczeli na nich, wymachiwali karabinami. W grupie skupionej wokół maszyny dowództwa Daniel zauważył białego – był to Fouche. Tam zamieszania było niewiele: palili papierosy, szczyrzyli zęby, mamrotali do krótkofalówek, pokazywali sobie coś między drzewami. Nad dżunglą zapalały się flary.

– To mi wygląda na prawdziwą operację wojskową – mruknął Daniel i zerknął pytająco na Wrońskiego.

Major powinien teraz uśmiechnąć się porozumiewawczo, lecz nie uczynił tego.

- Powiedzmy, że dostali dobre namiary – rzekł pomagając Redingowi zejść po schodach.
- Kilmouth ma udziały w GeoMacie, jeśli mnie pamięć nie myli.
- Mhm?

– Przyjazne oko na niebie...

Ruszyli ku leprozorium. Dopiero teraz Daniel zorientował się, że już nie pada.

W rowie leżał Orangutan Nieboszczyka, zastrzelony. Jego nie przeniesiono za ruiny.

Coś go tknęło i Daniel obejrzał się. W drzwiach szpitala stał de la Croix, nie spuszczał wzroku z Redinga.

– Czego on się spodziewa, do cholery?

– Cudu.

– Ta, już widzę, jak zstępuje do mnie z niebios Syn Boży.

– Nie mów! – parsknął najemnik. – Sam zaczynasz wierzyć, chłopie.

Daniel odwrócił wzrok.

– Tak, chyba tak. Pięć milionów tu, jakaś setka na odwrócenie satelity, kolejny milion łapówek dla generalicji, żeby się ruszyli i spacyfikowali okolicę... Nigdy dotąd nie angażował takich środków, musi być naprawdę przekonany o powodzeniu; co z kolei przekonuje mnie. Majorze?

– Mhm?

– Masz jakieś rozkazy odnośnie... krytycznej chwili?

– Chronić cię. Wywiązuję się z kontraktu – odparł sucho Wroński i Reding otrząsnął się.

Otumaniony chemikaliami grzązłby tak w gafach coraz głębiej – bo przecież linia do KS *via* satelita z pewnością została już ustanowiona. Dobrze, że przynajmniej major nie stracił głowy.

Doszli do werandy leprozorium.

– Jeśli faktycznie... – Wroński zawahał się. – Co Mu powiesz?

– Nie mam, kurwa, pojęcia.

Kula zaplątała się w szlafrok, Wroński cofnął się, żeby pomóc Danielowi. Odezwał się radiotelefon. Podniósł go do ucha, przyciszony.

– Dobra wiadomość – rzekł. – Znaleźli i odprowadzili ten wóz, który byłeś uprzejmy ukraść. Zdaje się, że mają też twoje rzeczy.

– Gdzie?

Major wskazał ręką.

– Czujesz się na siłach? Przyniosę.

– Najwyżej zemdleję i będę miał święty spokój. Ile jeszcze? Dwie godziny?

Ubłocony po szyby minivan zaparkowano z otwartymi wszystkimi drzwiczkami za łąką trupów. Schodzili wzdłuż strumienia, mijając łuk-ścianę zburzonej kaplicy i stanowisko mózdzierza. Trzej żołnierze – dla Daniela tak podobni do siebie, że prawie bliźniacy – wywlekali właśnie z pojazdu ciała tamtych dwóch M'Atowców.

Daniel z ulgą przysiadł na progu minivana. Zajrzał do wnętrza. Leżał tu kłęb płótna i błota, który mógł być jego torbą.

– Jest telefon, coś takiego – mruknął zdumiony Wroński sprawdziwszy kabinę.

Daniel wyprostował prawą nogę, która znowu mu cierpła. Żołnierze starali się układać ciała zabitych rewolucjonistów we w miarę równych rzędach, toteż stąd aż do kaplicy ciągnęły się proste skiby zwłok, nie pochowanych do żadnych worków, w większości obdartych z ubrań, żeby już nie wspominać o broni. Wkrótce zapewne je spalą – w dzień zleciałyby się muchy, zbiegli padlinożercy, zaraza gotowa. Było ich dobrze ponad sto; może dwieście. W zabójczo kontrastowym świetle reflektorów wyglądali na jeszcze bardziej martwych, sinieli w oczach. Był nów, a i gwiazdy jakby nieśmiało wobec takiej iluminacji – scena tylko zyskiwała na sztuczności.

Jeden z bliźniaków zapytał go o coś, ale Daniel nawet nie rozróżnił słów. Wzruszył ramieniem. Tamten pokazywał na dołożone właśnie do szeregu zwłoki. Bliżej leżał młodszy. Mimo bardzo ciemnej skóry (a może właśnie dzięki niej) ślady palców Daniela na jego twarzy, szyi, siniaki od dłoni na

skroniach – były doskonale widoczne. Usta zabitego pozostawały wpółotwarte, wylewało się z nich błoto. Lewe oko wytrzeszczone, drugie natomiast zamknięte.

– Gdzie ten telefon? – rzucił głośno Daniel, znajdując w ten sposób pretekst (dla samego siebie) do podniesienia wzroku.

Wroński coś odpowiedział, ale Reding nie zrozumiał. Wstawał opierając się o dach samochodu. Chciał krzyknąć, zawołać o pomoc; zamiast tego rzekł spokojnie i wyraźnie: – Tak. – Schylił się, żeby coś podnieść. Ogień, który nadchodził z prawej, zatrzepotał połami jego szlafroka. Murzyn otworzył drugie oko i wykrztusił resztę błota. Złapał podaną dłoń Daniela – jego dłoń była lodowato zimna. Daniel uśmiechnął się (zamiast wrzeszczeć!), po czym odwrócił się twarzą do białego ognia.

Jacek Dukaj

Opublikowano na Stronicach Dukaja (<http://dukaj.pl>)